

Autor: Romuald Pawlak
Tytuł: Overland i okolice
U: fragmenty

Z "NF" 1/93

Leszkowi Węgrzyńskiemu

„..Pewnego dnia wynurzył się ze snu jak
z lekkiej pustyni, spojrzął na daremne
światło wieczoru, które pomylił ze świtem
i zrozumiał, że nie śnił.

Borges

Cuda

W Overlandzie nigdy nie brak turystów. Co roku spełza się tu całe ich mrowie i wkrada się w prywatne życie Overlandczyków niczym szarańcza - z niepohamowaną pasją i zjadłością.

Overlandczycy niezbyt są temu przychylni, mimo to powstrzymują się przed podjęciem radykalnych kroków, doskonale zdając sobie sprawę, jakim bogactwem jest turystyka dla ich niewielkiego kraju. Żywią ponadto niczym nie uzasadnione nadzieje, że kiedyś ta turystyczna zaraza się ucywilizuje. Lecz czasem nachodzi ich jakaś zimna żądza mordy i wtedy posępne, zastygłe w grymasie niechęci twarze przeistaczają się w straszliwe maski łowców głów. Biada nieostrożnemu turyście, jeżeli zapuści się samotnie w mało poznane rejony kraju i trafi na metamorfozę usposobienia Overlandczyków.

Takie drobiazgi nikogo jednak nie zrażają. Overland słynie bowiem z czegoś, czego nie ma w żadnym innym kraju - z cudów. Nie są to cuda w ścisłym tego słowa znaczeniu, choć mało kto o tym wie. W gruncie rzeczy jest to bowiem umiejętność wywoływania niezwykle silnych halucynacji - i nic więcej. Cecha ta wyewoluowała w trakcie długich i przewlekłych wojen z Ankuzimi; jedyną skuteczną bronią Overlandczyków było wówczas zaskoczenie i ciągłe angażowanie się przeciwnika tak, by lepiej uzbrojony i liczebniejszy, nie miał chwili oddechu. Zjawiska halucynogenne nadawały się do tego celu wprost wyśmienicie. A ponieważ pewna wąska z początku grupa północnych Overlandczyków, posiadających tę umiejętność, przekazywała ją sobie z pokolenia na pokolenie, to właśnie ich wykorzystywano do walki z Ankuzimi. Asymilacja z mieszkającymi pozostałymi regionów kraju, w czym na wszystkie strony im pomagano, upowszechniła tę korzystną umiejętność. Niestety, nie udało się zwiększyć trwałości zjawisk. Wszystkie one bowiem, nawet najbardziej realistyczne wizje i fenomeny utrzymują się dotąd jedynie, póki zwraca się na nie uwagę, gasnąc później bezpowrotnie.

Wróćmy do turystów. Trudno opisać ich entuzjizm wobec pojawiających się zniecałkowane zór polarnych, tęczy, srebrnych i złotych obłoków, drzew rosnących korzeniami w górę (których owoce, zazwyczaj całkiem smaczne, wykopuje się niczym kartofle z ziemi), gradu drobniaków czy ziejących ogniem jedenastogłowych smoków. A przecież są to rzeczy jak najbardziej zwyczajne - rzeczy, je czynić wszyscy, najbardziej nawet ubodzy w ziemię i fantazję wieśniacy.

Czasem jednak zdarzają się prawdziwi artyści. Tym nie wystarcza poprawianie natury. Bywa, że dzięki kunsztowi i wysublimowanemu poczuciu humoru artysta taki spostrzegając w oddali wędrowca, otacza go zniecałkowane labiryntem murów, tuneli, przejść, krużganków, wykuszy i innych nierzeczywistych tworów, po czym odchodzi swoją drogą, ufny

w siłę rzuconego mirażu. I rzeczywiście. Najczęściej dla nieszczęśnika, którego spotkał ten los, wyzwoleniem z pułapki staje się utrata przytomności, kiedy zgoniony do ostatniego tchu pada omdlały. Nierzadko po to, aby już nie powstać. Cóż, nie darmo mawiają tu: zobaczyć Overland - i umrzeć!

Lecz nawet i to nie odstrasza turystów. Jedną bowiem tylko rzecz, a i to na krótko, może ich naprawdę przerazić: Benglin Krzyk Ostatniej Rozpaczy.

Nikommu z turystów nie udało się go zobaczyć - a i niewiele spośród rdzennych Overlandczyków może się pochwalić, że Benglin objawił im swą zwodniczo łagodną i beztroską twarz. Pod nią bowiem kryje się oblicze złośliwe i w okrucieństwie nie mające sobie równych.

Benglin wsławił się tym, że ofiary swe wybiera długo i starannie. Nie wiadomo, czym się kieruje, nie wiadomo na ogół, co się potem z nimi dzieje. Bezwrotnie znikają. Jedyną osobą, której udało się wyrwać z sideł Benglina, opowiadała o innych, nierzeczywistych światach, w jakie została wtrącona, coraz to nowych i straszniejszych... Nikt tego z oczywistych powodów nie potwierdził, są jednak podstawy, by wierzyć w tę opowieść. Rosita Streich bowiem z dwutygodniowej wycieczki po Overlandzie powróciła do domu starsza o lat kilkanaście.

I tak właśnie wygląda sprawa tzw cudów overlandzkich. Jedni mówią, że to koszmara, że szaleństwem jest wybierać się do Overlandu, kraju dziwaków, że trafiają tam jedynie szaleńcy i desperaci. Inni po powrocie z westchnieniem i błyskiem w oku wspominają spędzone tam chwile. Nie ma recepty na udany pobyt w Overlandzie, szczęście poddane zostaje tu ciężkiej próbie. Ale chyba warto spróbować.

Maski (1)

Gdyby komuś obcemu, przybyszowi spoza granic Overlandu, udało się wejść do centralnego pomieszczenia overlandzkiego domostwa, niechybnie zakończyłoby się to szokiem albo czymś gorszym jeszcze, o czym usta milczeć powinny. Na szczęście szanse przybysza z obcych stron są znikome. Sekretów tego najbardziej chyba intrygującego miejsca w kręgu ognia overlandzkiej rodziny strzeże kilka niezawodnych systemów zabezpieczeń - a o ostatnim z nich, samym Overlandczyku, można powiedzieć tyle, że w porównaniu z nim lggir z arakańskich dżungli to zwierzę nadzwyczaj pokojowo nastawione do świata i niegroźne dla otoczenia. Znane są przypadki, gdy obrona domowych świętości zakończona została skromnym i niezauważalnym dla otoczenia pochówkiem, którego sekret wychodził na jaw po wielu, wielu latach. A wtedy jest już za późno na protesty, zażalenia i reprimendy: pechowiec, którego skusiły miraże skarbów ukrytych w domostwach tubylców, zdążył skruszeć czy wręcz obrócić się wniwecz. W obronie swych sekretów Overlandczycy są bowiem bezwzględni, w swym fanatyzmie nie zważają na nic, nie dadzą się odwieść, przekonać - nie ulegną, jeżeli tak nakazuje im zew ich gorącej krwi. Osiągną cel, choćby właśnie po trupie przeciwnika.

Cóż jest więc takiego, co warte jest nawet najwyższej ceny, aby to osłonić przed niepowołanym wzrokiem?

Czy zwróciliście kiedyś bacniejszą uwagę na twarze Overlandczyków? Zwykle są one ponure, posępne, jakby zapiekłe w tłącej się od dawien dawna nienawiści. Stanowią jednoznaczny w swej wymowie przestrożę przed nawiązywaniem znajomości bliższej niż z przeciwnej strony ulicy. Jeżeli mieliście szczęście, być może udało się wam dojrzeć nikły, niezauważalny nieomal cień uśmiechu. Ja, który spędziłem tu

lat dziesięć, widziałem pełen, niczym nie skrępowany uśmiech jeden jedyny raz. Nie licząc oczywiście pojedynków irytystów, ale to zupełnie inna sprawa. Oni nie noszą masek.

Maska - oto najlepiej strzeżony sekret Overlandu (a zarazem będący tajemnicą poliszynela - czyż nie wspominałem, jak pełen zadziwiających niekonsekwencji jest ten kraj?!). Idealnie dopasowany do twarzy, niemal nierzeczywisty płatek materii, na którym ręka gospodarza - a mieszkańcy tego kraju słyną z fenomenalnych wprost zdolności plastycznych - skreśliła graficzny komunikat o aktualnym stanie duszy. Przyzwoity Overlandczyk ma ich ponoć kilkanaście, w tym jedną wyjściową, używają najczęściej, z owym charakterystycznym ponurym grymasem (jak się mówi, ma również taką na specjalne okazje, przenoszącą każdy ruch mięśni twarzy, prawdziwy jej wygląd). To właśnie owe maski czy raczej ich wzory stanowią tak wielki i godzien każdego poświęcenia sekret Overlandczyków. Cóż za bogactwo odcieni i subtelności! Prawdziwe studium człowieczej twarzy - a przecież nic nadzwyczajnego dla przeciętnego Overlandczyka.

Maska jest również powodem, dla którego tak często zdarza się Overlandczykom wyjść w trakcie najzagorzalszej choćby dyskusji, a po chwili wrócić odmienionymi nie do poznania, w zupełnie innym nastroju. A i tak zdumiewająco rzadko decydują się na odwiedziny osób, z którymi nie są w najwyższym stopniu zaprzyjaźnione. Wobec znanej ksenofobii i rozpadu więzi społecznych tego narodu wybór między oczywistym skrępowaniem a niezdolnością do prawidłowego wyrażenia swych uczuć może mieć tylko jedno rozstrzygnięcie.

Pamiętajcie więc: to, co widzicie, to maska. O prawdziwej twarzy Overlandczyka można powiedzieć jedynie tyle, że ją posiada.

Chociaż... i tego nie sposób być pewnym.

Pogrzeb

Zdarzyło mi się niedawno uczestniczyć w pogrzebie jednego z przyjaciół sprzed lat. Biły dzwony, grała orkiestra, tłum ludzi z zainteresowaniem przyglądał się żałobnikom... I wtedy przypomniałem sobie najdziwniejszy, a zarazem najpiękniejszy pogrzeb, w jakim brałem udział. Było to w Overlandzie, w niewielkim miasteczku Dusa, na samym początku mojego tam pobytu.

Człowieka, którego mieliśmy pochować, poznałem niewiele co prawda wcześniej, zaprzyjaźniliśmy się jednakże bardzo. Kiedy go widziałem ostatnim razem, cieszył się doskonałym jak na swoje lata zdrowiem i humorem. Jakież więc było moje zdziwienie i ból na wieść, że zmarł i rodzina prosi mnie na świadka jego ostatniej drogi. Włożyłem czarny, stosowny do okoliczności garnitur i o oznaczonej porze znalazłem się przed domem zmarłego, skąd miało się odbyć wyprowadzenie zwłok.

Wszyscy już byli, czekali na mnie, równie jak ja poważni i zamyśleni. Pośród dźwięków patli ruszyliśmy powoli, najpierw najbliższa rodzina, krewni i przyjaciele, wreszcie gapie, których nigdzie nie brak. Cała ta ceremonia tak bardzo przypominała mi nasze europejskie pochówki, że - jak pamiętam - pozwoliłem sobie na refleksję, iż kres człowieka wszędzie wygląda tak samo.

Cmentarz, który po jakimś czasie osiągnęliśmy, uczynił mnie jednak ostrożniejszym w dalszych uwagach. Wydał mi się bowiem zdumiewająco wprost odmienny od naszych miejsc wiecznego spoczynku. Niewiele grobów, z rzadka rozrzuconych pośród strzyżonej murawy, dużo zieleni, drzew i krzewów, gdzieś tam postumenci z popiersiami wielkich tego

miasteczka (czasem, o dziwo, cieszących się jeszcze pełnią sił), obraz ten zupełnie się nie pokrywał z moimi wyobrażeniami, przywodził na myśl raczej pielęgnowane starannie parki niż cmentarze.

Jednakże najbardziej wzruszające przeżycia i konstatacje były jeszcze przede mną. Oto bowiem patla zamilkła i wsunęliśmy się w enklawę pogodnego milczenia, jakim powitało nas to miejsce spoczynku Dusańczyków. Podeszliśmy do wykopanego grobu - był zdumiewająco płytki, co trochę mnie zaskoczyło, jak pamiętam - kilku najbliższych krewnych i przyjaciół przypomniało drogę zmarłego pośród nas - i trumna powędrowała w dół. Ktoś dał znak i żałobnicy poczęli sypać grudy ciężkiej, gliniastej ziemi na trumnę okrytą narodową flagą. Byłem pełen podziwu dla rodziny zmarłego: ich napięte, zbolęte twarze wyrażały jakby cień dumy.

I naraz głucho stuknięcie przecięło dysonansem uspokajający powiew cmentarnego powietrza. Wszystkie twarze, w tym i moja, zwróciły się na powrót ku spoczywającej w dole trumnie. Na wszystkich obliczach pojawiło się drapieżne napięcie - a wkrótce odprężająca ulga, kiedy wieko trumny puściło i zaczęło ciążyć w prawo, wlokąc za sobą płótno flagi. Tylko ja jeden z dławiącym krtań okrzykiem obserwowałem, jak wieko trumny ujawnia coraz większą czeluść, jak sypią się na bok szeleszczące grudy ziemi, a ze środka wychodzi nieboszczyk i w kompletnym milczeniu włącza się w krąg żałobników, rzucając z głuchym łoskotem grudę ziemi do własnej trumny. Grabarze jak gdyby tylko na to czekali, pośpiesznie zaczęli zasypywać grób. A potem poszliśmy na stypę, której przewodził sam zmarły...

Słyszałem, że żył jeszcze, kiedy opuszczałem Overland. Ba, powiadano, że zaczął młodziwiec. I chyba tak miało być. Bo po cóż inaczej tyle fatygi?

Irytyści

Spotkanie z irytystami jest zabawnym doświadczeniem. Spotkać ich można najczęściej na ulicach większych miast, gdzie urządzają festiwale grymasów i min, na podobieństwo ulicznych teatrów. Sztuki walk psychicznych to ich wielka życiowa pasja, dla której gotowi są porzucić dom, żonę, dzieci, przyjaciół... wszystko. Twarz pozwala się im wypowiedzieć - i tak też ją traktują: jako posłanniczy dar, w służbie duchowego przekazu, aktualnego komentarla do tego, czym żyje kraj, jak i opowieści o wartościach i zdarzeniach ponadczasowych.

Irytystę rozpoznaje się natychmiast, zawsze i wszędzie - po żywiołowej, gwałtownej i oszałamiająco zmiennej mimice. Ludzie ci bowiem każdą nieomal chwilę przeznaczają na trening. W ułamku sekundy ich twarz potrafi ze zbolętego oblicza cierpiętnika przeistoczyć się w twarz szubrawca, cwaniaka, cynika, szaleńca, natchnionego... by najczęściej natychmiast powrócić do normy. I znów: szalenie, cierpiętnik, łotr.

Najbardziej fascynujące są ich festiwale, będące serią pojedynków. Dwóch irytystów staje naprzeciwko i w milczeniu zaczyna się sobie przypatrywać nieustępliwym wzrokiem... Po czym rozpoczyna się właściwa walka, której celem jest pokazanie prawdziwszej i głębiej zapadającej w pamięć przemiany duchowej wyimaginowanego bohatera, któremu na czas pojedynku obaj zawodnicy użyczają swoich twarzy. O wyniku pojedynku rozstrzyga publiczność, choć uczciwej walki pilnuje oczywiście sędzia wyznaczony przez cech irytystów.

Zabawa, jaką mają obserwatorzy, w pełni rekompensuje stracony czas, jako że pojedynki trwają długo. Wprost nie

sposób oderwać oczu, kiedy na przykład irytyści odgrywają spektakl zatytułowany "Szaleństwo". Prawdziwi mistrzowie robią to bowiem z takim artyzmem, że niejeden z nich zbyt mocno związawszy się z rolą wędruje w miejsce ścisłego odosobnienia jako człowiek groźny dla społeczeństwa, a przynajmniej uchodzący za takiego (co uznać należy za najwyższą pochwałę reprezentowanego kunsztu!). Najczęstsze są jednak przypadki wycieńczeń. Nie jest bowiem niczym dziwnym, że często rywale reprezentują ten sam wysoki poziom umiejętności. A honor nie pozwala się wycofać. Żaden więc nie zgodzi się uznać za pokonanego, byle zakończyć walkę; podobnie jak remis, takie rozwiązanie nie wchodzi w rachubę. Kodeks cechu wymaga triumfu. Zmagają się więc, póki sił starczy, aż ogrom zmęczenia powali jednego z nich, pozbawiając przytomności. Choć zdarza się, że i wtedy taki nieprzytomny irytysta ustoi na nogach, symulując pełną kontrolę nad własnym organizmem.

Zwycięzca ma prawo nakazać pokonanemu ujawnienie własnej twarzy, skrywanej pod maską kontrolowanych mięśni. Irytystów jednak, podobnie jak zawodników wszystkich pozostałych form rywalizacji, obowiązuje pewien kodeks etyczny, a ponieważ presja hańby zmusiłaby wtedy pokonanego do odejścia z areny i życia - stosowane jest to niezmiernie rzadko, jedynie wobec najzaciętszych wrogów i nigdy w obecności kogoś spoza cechu.

Niektóre miasta, jak na przykład Snoe, mają irytystów wyspecjalizowanych w upodabnianiu się twarzą do turysty, który gotów jest za tę sztuczkę zapłacić, lub do dowolnej innej wskazanej osoby. Fotografia, na której widnieje się obok irytysty-bliźniaka, znanego aktora czy polityka, stanowi oryginalną pamiątkę, z pewnością wartą kilku drobniaków. Warto o tym pamiętać, napotykać głodujących irytystów na szlaku wędrówki.

Błogosławieństwo druku

Błogosławieństwo druku jest w Overlandzie znane. Wydaje się gazety, czasem, choć rzadko - książki. Mieszkańcy w przeważającej większości umieją czytać i pisać. A mimo to ciężko by było znaleźć takiego, poza dyplomatami i naukowcami, który zechciałby swe umiejętności zademonstrować publicznie. Przecież nawet dzienniki podrzuca się tu na próg domów, bez żadnej gwarancji, że gospodarze zdejmą białą płachtę, zanim zwieje ją wiatr czy zliżą szorstkie języki deszczu.

Pokutuje tu bowiem przesąd, że ci, którzy za dużo czytają, wkrótce głupieją. Zapytany Overlandczyk, jeżeli już przyzna, że czasem coś przeczyta, doda zaraz, że czyta tyle tylko, ile na pewno mu nie zaszkodzi. Ile to oznacza w praktyce, nie zdąży już powiedzieć, czmychnąwszy czym prędzej w obawie o całość własnej skóry. Zapewne istnieje tylko jeden sposób, by się przekonać, czy nie czyta się zbyt wiele: obserwować samego siebie. W momencie, kiedy pojawią się pierwsze symptomy, wszystko staje się jasne: czytaliśmy za dużo.

Choroba ta jest, niestety, nieuleczalna, a przy tym paskudnie zniekształca człowieka. Głowa rośnie do monstrualnych rozmiarów jak brzuch ciężarnej kobiecie, a wzrok zaczyna tchnąć pustką lub gorzej jeszcze: pojawiają się w nim refleksy przeżutych rzeczywistości, swoiste wymioty pochłoniętych papierowych światów.

Na szczęście nie jest to przypadłość zaraźliwa. Trzeba również wielu lat, aby choroba zaczęła się rozwijać, a czoło wydymać i puchnąć. Lecz moment ten staje się osobistą

tragedią każdego, kogo spotka taki los. Nie było bowiem jeszcze roku, w którym nie przemierzyłaby kraju wzdłuż i wszerz specjalna komisja, poszukująca takich właśnie nieszczęśników. Po zmierzeniu obwodu głowy, jeżeli przekracza on średnią ustaloną dla danego okręgu, odstawia się nieszczęśników do Hern. Tam, w tym mieście wiedzy i nauki, nasiąkają nimi do granic ludzkich możliwości, stając się niedoścignionymi w swych specjalnościach. Lecz sami niewielką mają z tego korzyść. Ogień wiedzy wypala w nich żar życia, pozbawia emocji i wszelkich uczuć. Stają się żywymi automatami, doścignionym ideałem myśli overlandzkiej, niechętnie przystającej na ekspansję techniki wypierającej tysiącletnie tradycje. Stają się żywą, spektakularną biblioteką. Ale ich wrażliwość na świat zewnętrzny maleje do zera. Prawdę powiedziawszy, przestaje on ich w ogóle interesować. Stan ten porównać można do katatonii - co z natury swojej dla istoty obdarzonej kiedyś rozumem nie wydaje się sytuacją najwłaściwszą. Często zdarza się, że nie sposób zresztą tej zakodowanej w nich wiedzy wydobyć - tak strasznie stają się zasklepieni w sobie.

Ów widok, tysiące zastygłych w letargicznym zamyśleniu postaci odzianych na biało i zajmujących kompleks budynków wielkości watykanu - zapada w pamięć nie mniej niż słynne overlandzkie cuda, stanowiąc jednocześnie pouczającą przestrożę przed zdobywaniem wiedzy za wszelką cenę. Ciekawość świata należy zaś przed Overlandczykami starannie ukrywać. Ci dziwni ludzie twierdzą bowiem - kto wie, czy nie słusznie - że tylko cudze oczy mogą wydobyć na jaw prawdę o ich kraju. Zaś los chodzącej strony wyrwanej z encyklopedii, w jaką można się przeistoczyć wyraziwszy zbyt gorące zainteresowanie sekretami Overlandu, naprawdę nie wydaje się godny pozazdroszczenia. Chyba że ktoś przedkłada wiedzę w najczystszej postaci nad zwyczajną ludzką egzystencję. Lecz najważniejszy jest chyba umiar. Ogromna większość Overlandczyków jest tego najlepszym przykładem.

Rozdwojeńcy

Czasami spotyka się siedzących w kucki na poboczach dróg starców, dorosłych, a nawet dzieci. Na ich twarzach, pokrytych szarawym pyłem podróznym, maluje się wysiłek, rozpaczliwa walka z niewidzialnym wrogiem. Choćby wydawało się wam, że ludzie ci potrzebują pomocy, bezwzględnie należy ich pozostawić własnemu losowi. Są to bowiem tak zwani rozdwojeńcy, przemieszczający się nie dzięki sile mięśni, lecz dzięki potędze własnego umysłu. Wszystkie znane mi próby wybudzenia rozdwojeńca z letargu zakończyły się tragicznie: bezpowrotnie znikali w niebycie zarówno rozdwojeniec, jak i jego niefortunny ratownik.

Dobrze jest natomiast, gdy zobaczycie rozdwojeńca, skinąć leciutko głową i spojrzeć w słońce. Powiadają, że przynosi to szczęście i powodzenie we wszystkich zamierzeniach dnia następnego. Nie ręczyłbym za to, czemu jednak nie spróbować? Zaszkodzić chyba nie zaszkodzi, a być może zapewni wam odrobinę pomyślności. Co tu, w Overlandzie, jest zawsze potrzebne.

Nocny hazard

Dobrym przykładem obłądu, jaki ogarnia czasem Overlandczyków, jest jedna z form uprawianego tutaj hazardu. Nocne spotkania zdarzające się najczęściej w zaułkach, gdzieś na peryferiach są bowiem zakazane. Oto z mroku wyłaniają się trzej zamaskowani ludzie: dwaj zwróceni twarzą do pechowca, uzbrojeni w pałki, oraz trzeci, z zasłoniętą

twarzą.

- Kto to jest? - pada sakramentalne pytanie. Trzeci napastnik odwraca się na sekundę. Jego twarz wydaje się dziwnie znajoma - lecz to nie wystarcza, trzeba ją rozpoznać bezbłędnie, inaczej... wypadki, kiedy takie nocne spotkania kończyły się śmiercią pechowca o słabej pamięci wzrokowej i nikłym zainteresowaniu życiem publicznym, nie należą do rzadkości. Choć bywa na szczęście, że napastnicy zadowolają się drobną opłatą manipulacyjną - za fatygę i ku przestrodze. Czasem wychodzi się z takiej potyczki zwycięsko, z cięższą kieszenią, lecz to rzadko się zdarza, bo pozostając w kręgu obowiązujących reguł, napastnicy wybierają jednak twarze mniej znane i niepopularne.

Plaga ta szerzy się w Overlandzie od niedawna, lecz przybrała już tak masowe rozmiary, że państwo musiało wydać jej wojnę. Przecież nocni napastnicy szargają reputację osób publicznych, posługując się ich podobiznami. Wydaje się jednak, że działania prewencyjne skazane są na niepowodzenie. Dlatego też Overlandczycy sami znaleźli sposób obrony: największym bestsellerem ostatnich miesięcy stał się katalog publicznych twarzy, wciąż uaktualniany. Dla sporej części społeczeństwa overlandzkiego stał się on czymś podobnym do naszych modlitewników, jedyną książką w domu, ale za to czytowaną dzień w dzień, w skupieniu i z najwyższym szacunkiem.

Napastnicy jednakże nie śpią. Ostatnio coraz częściej słyszy się o żądaniach rozpoznania nie twarzy, lecz głosu danej osoby publicznej. Liczba ofiar wzrosła. Overlandczycy z nadzieją i utęsknieniem wyczekują płyt z katalogiem głosów. Na razie co do jednego wykupili pierwszą partię gramofonów.

Słabości

Jedną z największych słabości Overlandczyków jest gęsty, bujny zarost. (Overlandczycy bowiem dziwnym zrzędzeniem losu twarze mają gładkie, pozbawione choćby włoska zarostu), Toteż sumiaste wąsy, wąska, przycięta w klin broda - potrafią doprowadzić ich do ekstazy. Nie mogą się wprost powstrzymać - muszą dotknąć, pogłaskać, a jeżeli to możliwe, oderwać jakiś sterzący włoszek na szczęście. Pół biedy jeżeli na tym się kończy. Często bowiem w nocy do pokoju, gdzie śpi obdarzony przez naturę obfitym owłosieniem obcokrajowiec

zakrada się nieproszony gość w zamiarze pozbawienia prawowitego właściciela jego bogactwa. Najczęściej dzieje się tak nie od razu, intruz chodzi po pokoju, wzdycha, podziwia obiekt swych westchnień, walczy ze słabością. Nie jest to bowiem prosta i bezbolesna decyzja. Zarówno wąsy, jak i broda najlepiej prezentują się w naturze, na twarzy właściciela, tracąc wiele jako trofeum na ścianie. Lecz pokusa zwykle okazuje się ponad siły. Ciach - i nóż zdejmuje zarost razem z głową, wydobywając z osamotnionych płuc przedśmiertny krzyk.

Zbrodnia zazwyczaj nie dobiega swego naturalnego kresu, jakim winna być kara wymierzona przestępcom. Tubylców łączy zadziwiająca solidarność. Sprawa błyskawicznie zostaje zatuszowana, a sprawca przez wiele lat będzie się mógł rozkoszować swym łupem w zaciszu własnego domostwa, dopuściwszy do tajemnicy jedynie wąskie grono najbardziej zaufanych przyjaciół. W ostatnich latach jedyny znany mi przykład wytoczenia procesu w takiej sprawie to tzw. przypadek Ondesa. Nieszczęśnik ów został przez sąd złożony z siedemnastu przysięgłych uniewinniony, kiedy wyszło na jaw,

że wasy, cudowna, wspaniała ruń, która skruszyła jego wolę, okazały się fałszywe!

SzungaPunga: Targ niewolników

W SzungaPunga, małym kraiku broniącym Overlandowi dostępu do morza (od którego Overland dzierżawi swój jedyny port oceaniczny), znajduje się największy na kontynencie targ niewolników. Jak na innych targowiskach, można tu kupić za bezcen towary wspaniałe, jak i bajecznie przepłacić za zwykłe barachło. I jak każdy liczący się targ, tak i ten ma swą niepowtarzalną atrakcję. Jest nią urządzana kilka razy w roku aukcja kobiet z Hypenii, wysokich i smagłych piękności. W przeciwieństwie bowiem do SzungaPungańczyków, Hypenowie nie pozbawiają swych nieposłusznych czy cudzołożących żon wolności w tak bezproduktywny sposób, jak zamykanie w klatkach. Hypen to urodzony biznesmen, on woli taką żonę sprzedać. A trzeba powiedzieć, że z powodu swej niepowtarzalnej urody Hypenki są poszukiwanym towarem. Nie osiagają może zbyt wysokiej ceny, gdyż jest to już poza wieloma przypadkami towar używany, z drugiej ręki, niemniej jednak Hypenowie nie mają problemów ze zbytem.

Istnieje jednak niewielki problem, który co jakiś czas powoduje wrzenie niektórych społeczeństw, takich jak kappandorskie, oraz demonstracyjne solidaryzowanie się z nim ruchów kobiecych Overlandu, Atakanii czy Papualandii. Otóż Hypen, który ma zamair sprzedać swą kobietę, odpowiednio ją wcześniej przygotowuje: najpierw obcina język, potem rozżarzonymi głowniami (uwważając, żeby nie uszkodzić oczu) pozbawia ją możliwości widzenia, po czym tak przytępia słuch, aby ledwie docierały do kobiety odgłosy świata zewnętrznego. Wszystko to rzecz jasna w trosce o zachowanie sekretów własnego domostwa. Lecz chyba nie tylko. Gdyby nie te drobne skazy, ceny Hypenek osiągałyby astronomiczną wysokość, a tak kształtują się w granicach możliwości każdego majątniejszego mężczyzny.

I tylko Kappandor wystąpił ostatnio z inicjatywą targu mężczyzn, postępując z nimi dokładnie tak, jak Hypenowie ze swymi kobietami. Lecz okaleczeni mężczyźni nie cieszą się wzięciem i wydaje się, że Kappandor raczej na tym przedsięwzięciu stracił niż zyskał.

Turniej Połykaczy

Overlandczycy rywalizują ze sobą na wiele różnych wyrafinowanych sposobów. Jednym z nich są zawody przy - nazwijmy to tak - współdziałale nieszczęsnych kokrów. Innym polowanie na grogle czy araida. Jeszcze innym, niemal w ogóle nie znanym w świecie zachodnim, choć wśród samych Overlandczyków budzącym nie mniej żywe emocje co pozostałe sporty, są turnieje połykaczy, organizowane rokrocznie i cieszące się znaczną popularnością.

Dwóch mężczyzn, w równym wieku, równego wzrostu i wagi, tej samej rasy i światopoglądu - identyczność ta jest niezmiernie ważna, jak wyjaśniał mi jeden z kibiców, chodzi bowiem o zrównoważenie szans przeciwników i pozbawienie ich powodów do osobistych nienawiści - potyka się na małym skrawku uklepanej ziemi, oświetlonym punktowymi reflektorami, podczas gdy widownia ginie w ciemnościach. Zawodnicy splatają się w taki sposób, aby ręce jednego obejmowały kostki stóp drugiego - i zaczyna się wzajemne pochłanianie. Trwa to długo: najpierw walka o pierwszy kęs, o uchwyt dla żarłocznych zębów, wreszcie stopy znikają w gardłach, potem kolejno łydki, połykane w wielkiej męce kolana, uda... I naraz przestaje być wiadomo, kto pożera

szybciej, połykacze tworzą nierozdzielną całość...

Istnieje kilka możliwości rozstrzygnięcia takiego pojedynku. Któryś z zawodników może nie wytrzymać i zwrócić drugiego: przegrywa wtedy przez dyskwalifikację. Może zapłatać się podczas połykania górnych kończyn, które ten drugi stara się trzymać jak najszerzej rozłożone; ogłasza się wtedy wynik remisowy, bowiem obaj zawodnicy pilnie wymagają hospitalizacji. Najczęściej jednak któryś z nich okazuje się szybszy: wygrywa, całkiem pochłonawszy przeciwnika, zanim tamtemu uda się zrobić to samo. Zabawnym widokiem jest stercząca z gardła zwycięzcy głowa pokonanego. Sędzia szybko jednak przywraca porządek. Po czym zwycięzca zostaje nagrodzony wieńcem i hożą dziewicą. Długo jeszcze będzie szedł za nim mir triumfu, podkreślany zapachami soków trawiennych.

Pomyślności

Wspominałem tu już o pomyślnych wróżbach przy okazji rozdwojeńców. Istnieje coś, co zwiększa jeszcze stopień pomyślności: zlikwidowanie czyjegoś czaru. Trudna to rzecz, możliwa jednak nawet dla obcokrajowca. Celował w tym zwłaszcza jeden z moich przewodników po Overlandzie, Hoohoończyk, kierowca. Często się bowiem zdarza, że jakiś szczególnie złośliwy albo sfrustrowany Overlandczyk postawi na drodze przed pędzącym samochodem złudę starej babiny, rozdwojeńca czy dziecka idącego do szkoły. W tym momencie zaczyna się gra: jeżeli zatrzymacie się przed jego ułudą, on będzie górą, wasza pomyślność spłynie na niego. Lecz jeżeli rozjedziecie jego czar, straci swą pomyślność na waszą korzyść. Mój kierowca właśnie dzięki temu prowadził mnie od jednego szczęśliwego zdarzenia do jeszcze szczęśliwszego.

Lecz pewnego dnia musieliśmy się rozstać. W pogoni za naszym szczęściem zamiast czaru rozjechał prawdziwego Overlandczyka.

Maski (4)

Maski noszą wszyscy - ale nie dyplomaci i urzędnicy państwowi wyższej rangi. Ci na czas kadencji, piastowania stanowiska zmuszeni są przestrzegać nakazu występowania z odkrytą twarzą. Jeżeli udowodni się komuś złamanie tego prawa, nie tylko pozbawiony zostaje zajmowanego stanowiska, towarzyszącego mu immunitetu, ale i przywileju (a w warunkach overlandzkich również i konieczności) używania maski. Następuje śmierć publiczna, a po niedługim czasie - także i faktyczna.

wykrywalność przestępstw tego rodzaju jest niska. Ale plotki mają się lepiej niż dobrze. Ten zakłada maskę w samotności (skąd więc o tym wiadomo, plotka taktownie milczy), ów uczynił swą maskę tak doskonałą, że wręcz nieodróżnialną od żywego ciała (znów - któż więc to zauważył?!), tamten z niczym się nie kryje, bez żenady obnosząc się ze swą kolekcją masek..

Życie publiczne kwitnie, dostarczając obserwatorom wielu niepowtarzalnych przeżyć. Dokładnie tak, jak wszędzie. Maski niczego, jak widać, nie zmieniają.

Mimarium

Życie dyplomatyczne w Overlandzie nie jest zbyt bogate. Oficjalnych gości z zagranicy podejmuje się tu rzadko, najczęściej wtedy dopiero, gdy zachodzi pilna potrzeba, w rodzaju pośredniczenia przez jakieś państwo w mediacjach czy uzyskania przez Overland pomocy w dostępie do know-how albo kredytów. Niemniej jednak dyplomaci z innych państw

przyjeżdżają tu równie chętnie jak na wyspy Bahama, gdzie spędzają urlopy i weekendy, a może nawet i chętniej, bo tutaj wszystko mają nieomal za pół darmo, a dodatkowo w grę wchodzi jeszcze ów splendor, jaki dotyka gościa. Wystarczy więc cień nadziei, nie dość wyraźna odmowa - i już wicekról Hiszpanii czy premier mroźnego Uruku z całą pompą należną jego majestatowi ląduje na jedynym overlandzkim lotnisku - Zaa-Partem.

Powodem, dla którego goście garną się tu drzwiami i oknami, jest jedyny w swoim rodzaju, nie spotykany nigdzie indziej zaszczyt, jaki spotyka owych ważnych i mniej ważnych zagranicznych gości: ich podobizny wędrują do mimarium. I po wsze czasy zachowana zostanie pamięć o nich.

Czym jest owo mimarium? To jakby odpowiednik muzeum figur woskowych. Różni się odeń tym, że zasadniczą część zbiorów stanowią specjalnie spreparowane lustra, których dyplomaci i dostojnicy używali podczas swego pobytu w Overlandzie. Już po ich wyjeździe lustro, zawieszane wcześniej w toalecie, przypatrujące się gościowi podczas golenia czy tuszowania świadectw przemijania czasu, zostaje jakby wywołane w miksturze, której sekret od wieków pozostaje w rękach wąskiej grupki państwowych mimarzy, przekazujących go sobie z pokolenia na pokolenie. I oto na lustrzanej powierzchni pojawia się twarz gościa - w najbardziej charakterystycznej minie czy grymasie, ujawniającej jego prawdziwe oblicze. Niejednokrotnie mimarium i jego najnowszy nabytek stawały się przedmiotem zaciekłych polemik na szczeblu międzynarodowym. Jak na przykład wtedy, gdy szczytujący się dobrocią władca Baltlandii ukazany został przez lustro jako człowiek na wskroś ponury, z nienawistnym i pełnym okrucieństwa zaciśnięciem warg i jadowitym błyskiem w oku, którego nie skryły nawet okulary. Albo kiedy żona prezydenta Federacji wielomorskiej już bez makijażu okazała się brzydsza niż grzech śmiertelny. Mimo to nikt nie rezygnuje z możliwości uwiecznienia się w mimarium. Mentalność ludzka wciąż przedstawia dowody pychy nie mającej sobie równych.

Zdarza się czasem, że międzynarodowe skandale wybuchają z innej przyczyny - i wtedy stroną skarżącą jest Overland. Niekiedy bowiem gość, którego lustro ukazało w nieprzychylnym świetle, nasyła swych ludzi, aby wykradli lub, co gorsza, zniszczyli podobiznę. Nikomu się to jednak jeszcze nie udało: kolekcja podobizn otoczona jest ochronną, niewidoczną tarczą, broniącą zbiór przed ręką przestępcy i złośliwym czarem. Jedynym efektem takiej próby jest nowa negatywna cecha, ujawniająca się równocześnie na twarzy i wizerunku poirytowanego gościa. Z chwilą, kiedy zdradzi mu się podłoże nagłego wyrośnięcia brodawki czy pycia na języku, natychmiast rezygnuje on z kolejnych prób zniszczenia swej podobizny. Kolekcja znów więc jest bezpieczna - a urażony przybysz zaczyna starania o kolejną wizytę, która być może ukaże go w lepszym świetle. Co jednak raczej się nie zdarza.

Echo

W gruncie rzeczy Overlandczycy są ludźmi dość zabobonnymi, lękają się wielu rzeczy. Historie ze studniami czy z cieniem to ledwie przedsmak tego, co odkrywa się, drążąc ten temat. Przeciętny Overlandczyk boi się najpierw, że ktoś rzuci na niego urok, później, że ktoś skradnie mu jego cień... Najbardziej jednak mieszkańcy tego kraju obawiają się samotnego spotkania z echem.

Gdyby można było je zlikwidować, unieszkodliwić na zawsze, idę o zakład, że Overlandczycy poświęciłiby

wszystkie swe siły, aby tego dokonać. Nie jest to jednak możliwe - echo wciąż więc pozostaje grozą, której Overlandzcy obawiają się najbardziej.

Dlaczego tak jest? Powiadają, że echo może skraść człowiekowi wszystkie słowa, jakie ten wymówi, a ono zdoła je za nim powtórzyć. Może to nastąpić nieomal wszędzie: na ulicy, w lesie, w polu... Jedynym miejscem wolnym od złowieszczych zakus echa jest overlandzki dom, którego spokoju strzegą relikwie. Poza nim Overlandzcy rzadko się odzywają, choć nie milczą zupełnie. Ale też mówią oszczędnie, dzieląc swój język jakby na dwie części: tę, którą pozwalają zabrać, jeżeli już się tak zdarzy - i tę, bez której nie potrafiliby żyć, nie używają jej więc poza domem, może w wyjątkowych sytuacjach.

Istnieje tylko jeden sposób, aby pozbawić echo przywiązane do jakiegoś miejsca siły, uczynić niegroźnym: trzeba powtarzać to, co ono podchwyci - powtarzać, aż zamilknie - i to do powtarzającego za echem musi należeć ostatnie słowo. Jest to jednak niezwykle trudne i tylko kilka miejsc udało się w ten sposób uwolnić. Tymczasem wciąż przybywa ofiar echa, mówiących półsłówkami ludzi, którym zaczyna brakować słów. Kiedyś będąc gadułami, teraz przeżywają katusze nie do opisanie, nieomal skazani na milczenie. Oto, jak w tym kraju mści się na człowieku brak powściągliwości.

Romuald Pawlak

ROMUALD PAWLAK

Urodzony w 1967 roku w Sosnowcu. Były sprzątaczką wojskowej Komendy Uzupelnien, był sanitariusz Pogotowia Ratunkowego, obecnie wydawca, żerujący na śląskich instytucjach naukowych. Pijący, niepalący. Kawaler, od dwu lat pozostający w trwałym związku ze swoim komputerem.

Publikuje prozę (nie tylko SF) w "Fenixie", "Młodym Techniku", "Na przełaj" i "Gazecie wyborczej". Ważniejsze opowiadania "Koniec ery głodu" (w "Wizjach alternatywnych", Arax, Białystok 1990) i "Zmartwychwstanie Menela" ("Fenix" 3/7/1991 - za to opowiadanie dostał nominację do Nagrody im. J. A. Zajdla). Nie potrafiłem polubić "Menela", nie rozumiem tej nominacji, natomiast w "Overlandzie i okolicach" znajduję autora w ciekawym punkcie pisarskiego rozwoju. Dał nam Pawlak prozę ironiczną, nieco staroświecką, refleksyjną, zalecającą się wyrafinowaniem i nienachalnymi skojarzeniami. Przedstawione "fragmenty" stanowią zaledwie 30 proc. całego tekstu. Jeżeli się Państwu spodoba - może powtórzmy wycieczkę do Overlandu na łamach "NF".

(mp)